Miasto przemytników



Iran, Isfahan, sierpień 1978 r,, fot. arch. Cz. Sornata

Czesław Sornat *(Austin, Teksas)*

Zahedan to miasteczko na wschodnim krańcu Iranu, znane jako miasto przemytników do… i z… Pakistanu. To miejsce, w którym rozkręca się wagony, żeby upchnąć cały przemyt, w każdą, nawet najmniejsza szparkę. Dzięki Bogu nie ruszają lokomotywy,

chociaż nie zajęło by im to zbyt dużo czasu. Myślę, że zapisanie całej strony nie wystarczyłaby, aby wymienić wszystkie przemycane towary. Zacznijmy od najbardziej kolorowych i największych zwojów lin do wspinaczki wysokogórskiej. Schowanie ich wymagało odkręcenia ścian wagonów, żeby rozłożyć je równomiernie pomiędzy płytami.

No, ale co zrobić z tonami szarych materiałów w belach, w których tak się kochają Pakistańczycy? Przemytnicy są kreatywni. Jeżeli owinąć zazwyczaj chudych tubylców kilkadziesiąt razy materiałem, postawić ich potem delikatnie pod ścianami tak, żeby się nawzajem podpierali, to mogłoby nawet ujść uwadze przekupionych celników. Gorzej byłoby z wyrostkami, którzy po owinięciu tkaniną mogliby być tak szerocy jak wysocy. Do tego w turbanach dwukrotnie wyższych i szerszych niż ich głowy. Tych trudno było nie zauważyć. No, ale wtedy powinny zadziałać łapówki. Bo inaczej…



Łódzcy studenci z klubu „W Siną Dal” na wyprawie do Iranu, Zahedan, sierpień 1978 r. , fot. arch. Cz. Sornata

Wróćmy jednak do Zahedanu. Jest to gliniane miasteczko w środku pustyni na granicy irańsko-pakistańskiej, z jedyną linią kolejową. Należy dodać, że pociąg łączył Zahedan z Quettą (centrum Talibów) tylko raz w tygodniu.

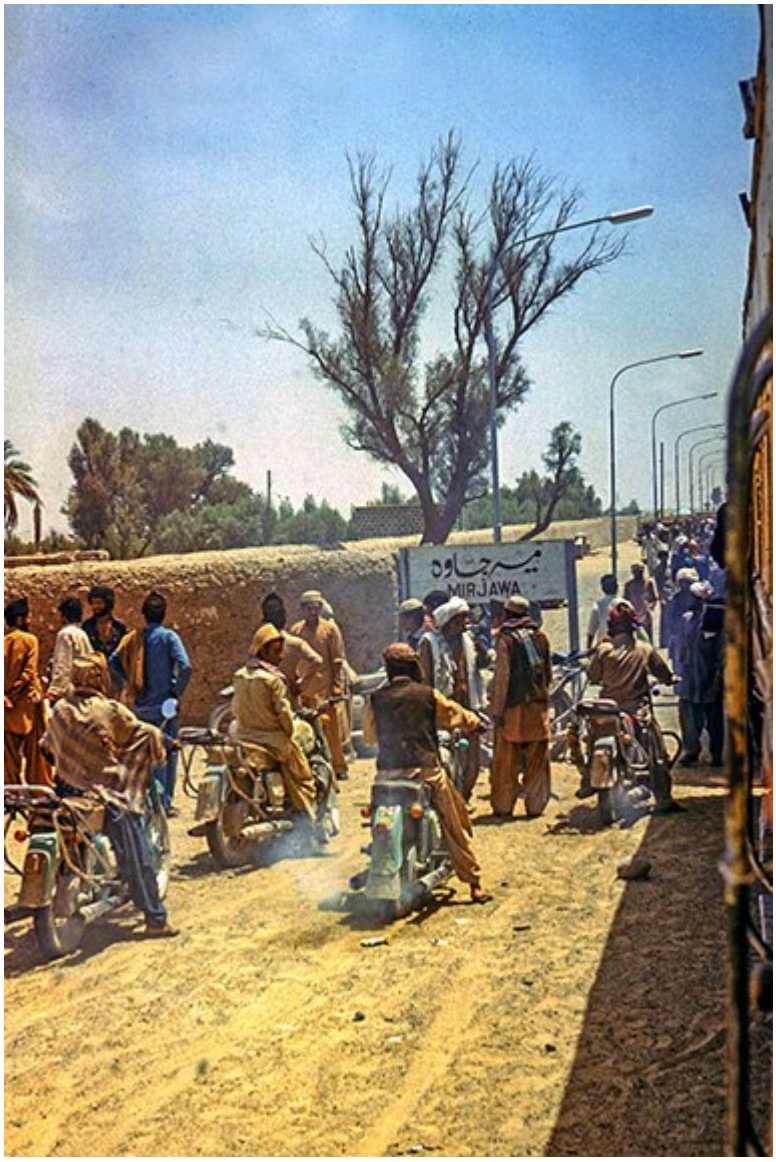
W tym czasie Afganistan przeżył pierwszą rewolucję i przejazd przez ten kraj do Indii nie był możliwy. Pozostawał jedynie pociąg przemytników. Zdecydowało się na to dwadzieścia jeden szaleńców – Europejczyków. No cóż, szaleńców nie brakuje, szczególnie, gdy motywacją jest haszysz uprawiany w Indiach. Jednak dla nas, polskich studentów taka motywacja odpadała.

Pozostawało szaleństwo i nieznajomość realiów Azji południowo-zachodniej.

Muszę teraz cofnąć się w czasie, do momentu, kiedy wysiedliśmy w środku nocy na dworcu autobusowym w Zahedanie. Przejście dużej grupy Europejczyków przez źle oświetlone gliniane miasto, w poszukiwaniu dworca kolejowego, bez zwrócenia uwagi policji i wojska, było na granicy cudu.

Wcześniej czy później musieliśmy się znaleźć – na POSTERUNKU WOJSKOWYM! Co może być bardziej niebezpiecznego od oddziału żołnierzy z mózgami pełnymi oparów haszyszu i z amerykańskimi M-16 w dłoniach? Dodajmy do pełnego obrazu grupę ponad dwudziestu białych turystów, (a może białych najemników…) środku nocy. Przerażający scenariusz. Dzięki Bogu mieliśmy odrobinę zdrowego rozsądku i my, studenci z Łodzi, poszliśmy w niewielkiej odległości za wszystkimi. Nagle kilku białym przyszło do głowy odłączyć się od grupy i pójść w kierunku posterunku, żeby spytać się o drogę na dworzec kolejowy. Tego było już za wiele. Jak jeden mąż eskortujący nas żołnierze złapali za karabiny i z krzykiem rzucili się w naszym kierunku. Ich okrzyk mógł oznaczać “ręce do góry” – bo co innego mogliby w takim momencie mówić, jednocześnie waląc kolbami tych kilku głupio odważnych. Wszyscy inni padli na kolana i w przerażeniu czekali, który z żołnierzy pociągnie za spust. Niech los mnie chroni przed podróżowaniem z pewnymi

siebie, choć tak naprawdę naiwnymi białymi turystami.



Bodyguards, Pakistan, Zahedan, Quetta, sierpień 1978 r. fot. arch. Cz. Sornata

Impas, klasyczny impas. Z jednej strony ci odważni, którzy zostali brutalnie zwaleni na ziemię, wraz z pozostałymi klęczącymi na kolanach, z rękami założonymi nad głową. A z drugiej strony spanikowani żołnierze zastanawiający się czy już strzelać, czy jeszcze poczekać. I jak tu wyjść nie tylko żywym, ale jeszcze z HONOREM.

Koniec końców żołnierze pozwolili nam się oddalić baaardzo powoli w pokazanym przez nich kierunku. Los się nad nami zlitował, bo idąc tak, dotarliśmy w końcu do dworca kolejowego.

Dworzec okazał się być odgrodzony od miasta wysoką, na 8 stóp, metalową siatką uwieńczoną drutem kolczastym. Nasze marzenia o przespaniu się na drewnianej podłodze poczekalni dworcowej prysnęły jak bańka mydlana. Co więcej, u podnóża tych kilkusetmetrowego płotu, jeden przy drugim spali przyszli przemytnicy. Tylko co pewien czas widać było ogniki papierosów czuwających wartowników. Cóż mieliśmy zrobić, poszukaliśmy jakiejś dziury miedzy śpiącymi i też położyliśmy się spać. Oj, jakie sny mieliśmy. Wszystkie kończyły się seriami z karabinów M16. Obudziliśmy się bardziej zmęczeni, niż kiedy się kładliśmy spać. Ale żyliśmy. I to było najważniejsze.

Nasi sąsiedzi już coś tam gotowali na przenośnych kuchenkach. Niektórzy z nieśmiałym uśmiechem zapraszali do skorzystania z ich obozowiska. Z radością je przyjęliśmy. Jeszcze nigdy przesłodzona herbata z glinianego kubka tak dobrze mi nie smakowała.



Iran, Zahedan, sierpień 1978 r., fot. arch. Cz. Sornata

Ludzie byli ciekawi co mogliby chcieć przemycić Europejczycy. Przecież haszysz i marihuanę przemyca się na zachód. Więc co? Trudno opisać wyraz zdziwienia na ich twarzach, gdy próbowaliśmy przekonać ich, że NIC! NIC, takie najzwyczajniejsze NIC. Tego jeszcze nikt nie próbował tam przemycić!

Nie przypuszczałem, że zbierze się wokół nas tak wielka grupa, żeby komentować nasze NIC. A ile radości im sprawiliśmy, to tylko oni wiedzieli. Jeszcze chwila, a przebraliby nas za błaznów i wystawili na najwyższym wzniesieniu dworca. No, ale kupiło nam to wariackie papiery i pełną tolerancję ze strony tych groźnie wyglądających brodaczy. Każdy miał karabin, niektórzy swoją

broń przewiązywali sznurkiem, i wielkie kindżały za pasami. Czuliśmy się jak w obozie Alibaby i 40 rozbójników.

No, ale wracajmy do poranka po obudzeniu się i wypiciu herbaty. Biegiem popędziliśmy, żeby kupić bilety do Quetty. A kupienie tych biletów było wyczynem na miarę wspięcia się na Kilimandżaro. Wiem o czym piszę, bo się na Kilimandżaro wspiąłem. Teraz pozostał jeszcze jeden dzień czekania i koczowania pod płotem. No i w drogę.



Pociąg przemytników, Iran, Zahedan, sierpień 1978 r., fot. arch. Cz. Sornata

W międzyczasie pociąg został rozkręcony i skręcony wraz z tymi tonami przemycanych towarów. Dzieło sztuki inżynieryjnej najwspanialszych mózgów Iranu i Pakistanu. Potem przyszedł

czas szturmu i walki o kawałek ławki czy podłogi. Ale wszędzie byliśmy przeganiani, aż skończyliśmy w ostatnim wagoniku. Okazało się, że był to wagon obsługi pociągu, więc zgodnie z przepisami mieliśmy być wszyscy z tego pociągu wyrzuceni, razem z naszymi europejskimi, przepłaconymi biletami. No, ale nagle w negocjacje włączyła się starszyzna plemienna i zaczęto przydzielać po kilku Europejczyków do każdego wagonu. Co, jak się później okazało, uratowało życie wielu ludziom. Wojsko nie strzelało na oślep w stronę wagonów, bo mogło niechcący trafić Europejczyka i tłumaczyć się potem różnym ambasadorom i politykom. Oj, to by już pachniało pakistańską Syberią. Więc jak się okazało wilk został zdrowy i żywy, a i owca cała dojechała do Quetty.

Piątka Polaków trafiła do wagonu wodza plemienia, któremu służba zbudowała coś w rodzaju tronu. Wokół stało kilkunastu uzbrojonych po zęby strażników. Tym razem wszyscy mieli AK47. Od czasu do czasu coś się dostawało nam z pańskiego stołu. To było dobre do czasu, gdy miejscowi nie zaczęli wyciągać woreczków z haszyszem i nie robić skrętów z gazety. Nasze początkowe nieśmiałe próby odmawiania palenia z nimi, trafiało na znaną nam z Polski logikę: “co, ze mną nie wypijesz?” A tutaj przy potrząsaniu kałasznikowami usłyszeliśmy, że odmówienie palenia nie wchodzi w grę.

Odmówić wodzowi plemienia, no to, to się jeszcze nie zdarzyło.

Nawet takim szczęściarzom jak my. Raz kozie śmierć! Powiedzmy, że koza też pojawiała się w naszych halucynacjach, trzymających nas przez dwa dni. Korzyścią było to, że nie mieliśmy łaknienia i nie musieliśmy nic jeść. Gorzej było z pragnieniem. Z tego powodu przeżywaliśmy katorgi.



Iran, Isfahan, sierpień 1978 r., fot. arch. Cz. Sornata



Iran, Isfahan, sierpień 1978 r., fot. arch. Cz. Sornata

*

Byliśmy tak zamroczeni haszyszem, że nie za bardzo wiedzieliśmy co się wokół nas dzieje. Na szczęście, można powiedzieć. Gdy pociąg został otoczony przez duży anty przemytniczy odział wojska, bieganie, ganianie, rozkręcanie wagonów, odwijanie ludzi, wyglądających jak radziecka mańka-wstańka z nieskończonych metrów materiału, a nawet strzelanie,

było jakby poza nami. My w błogim półśnie, z uśmiechem przylepionym do ust, patrzyliśmy się na to wszystko jak na film. Co więcej film z innej planety. Błogosławiona nieświadomość i niepamięć.

Oczywiście długie godziny trwało rozkręcanie i skręcanie wagonów, negocjacje przywódców plemion z przywódcami wojskowymi, co i za ile łapówek może pozostać w pociągu i pojechać w głąb kraju. A i łapówki, i skonfiskowane przedmioty podreperowały portfele kiepsko opłacanych żołnierzy.

Tymczasem my w swoich okręcikach bujających w obłokach haszyszu nie zwróciliśmy uwagi, że nasza podróż zamiast trwać jeden dzień, trwała pełne trzy dni. No właśnie trzy dni, a my jedzenie i wodę mieliśmy na jeden dzień. Jak już wspominałem, z jedzeniem nie było problemu, ale umieraliśmy z braku wody. Na drugi dzień zatrzymaliśmy się na stacji w środku nicości. Wokół tylko kilka glinianych chatek, a na poboczu – zbiornik na wodę dla lokomotyw. Gdy już nasza lokomotywa się opiła do granic niemożliwości, to przyszła pora na pasażerów. Przy podstawie zbiornika był kranik i wiszący na metalowym łańcuchu mały metalowy kubek. I olbrzymia kolejka. Każdy dostawał kubek mętnej wody. Kubek chyba nigdy nie myty, a był przekazywany z rąk do rąk, a raczej z ust do ust. Mimo swojej mętności i czegoś tam pływającego, smak wody wydawał nam się smakiem najwspanialszego nektaru. Bo to była WODA! – prawdziwa

WODA! I to było najważniejsze! A obawy o bakterie, czy ameby? A kto by się przejmował, gdy wreszcie po przeszło dniu miał przed sobą kubek prawdziwej WODY! I musiał ją szybko pić, bo tłum czekający w kolejce, mógłby rozszarpać każdego, kto przedłużał dostanie się do tego życiodajnego wodopoju.

Gdy pod koniec trzeciego dnia wjechaliśmy niezbyt triumfalnie do Quetty, to radości nie było końca. Wszyscy Europejczycy zdecydowali się czekać na pociąg do Rawalpindi. I tylko niedoinformowani Polacy pozostali kilka dni w totalnie zmilitaryzowanej stolicy Talibanu. Ale te wydarzenia poczekają na następną opowieść.

Ponad sześciomiesięczna wyprawa klubu studenckiego z Łodzi „W Siną Dal", 1978 r. Trasa: Polska, Związek Radziecki, Iran, Pakistan, Indie, Kashmir, Indie, Sri Lanka, Indie, Nepal, Indie, Pakistan, Afganistan, Iran, Związek Radziecki, Polska.



Iran, Teheran, sierpień 1978 r., fot. arch. Cz. Sornata

*

Zobacz też:

> Zjawy z wyspy Rapa Nui